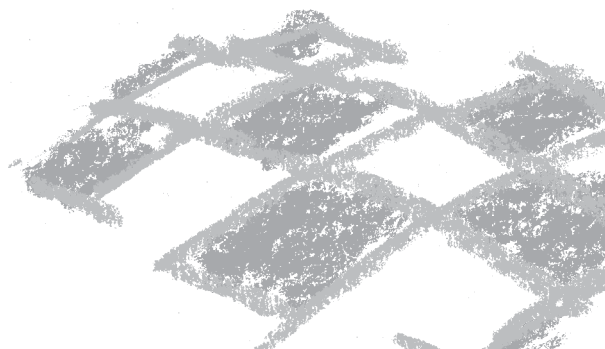


MILJENKO JERGOVIĆ

HERKULES

Przekład Magdalena Petryńska



Tytuł oryginału: *Herkul*

Wydanie polskie na podstawie: *Fraktura, Zaprešić 2019*

Wydawca

Bożena Kućmierowska

Redakcja i korekty

Joanna Pomorska

Redakcja techniczna

Danuta Przymanowska-Boniuk

Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne

Janusz Fajto

Knjiga je objavljena uz financijsku potporu
Ministarstva kulture i medija Republike Hrvatske
Książka została wydana przy finansowym wsparciu
Ministerstwa Kultury i Mediów Republiki Chorwacji



© Miljenko Jergović and *Fraktura* 2019. All rights are represented by *Fraktura*, Croatia

© Polish translation by Magdalena Petryńska

© for the Polish edition by Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.

Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Kopiuwanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie w całości lub we fragmentach
jakąkolwiek techniką bez pisemnej zgody wydawcy zabronione

978-83-7963-162-9

978-83-7963-163-6 (e-book)

Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.

00-696 Warszawa

ul. J. Pankiewicza 3

www.wydawnictwosedno.pl

info@wydawnictwosedno.pl

Herkules

Hop, zajączku, hop, hop! Tata nie ma, za kark nie złapie: nie, Herkules, nie na jezdnię... Kamień sterczy z asfaltu, walnie cię w czoło, bum! O, Herkules, Herkules, jakby cię tata widział, złapałby cię, rzucił wysoko, leci Herkules, leci, leci sokół wysoko, podnieś się z ziemi, wstań. Herkules wstaje, światło i mrok. I znowu światło... A tata łamie szpagety nad rondlem! Szpagety, nie szpagety, nad rondlem para. Łamie tata szpagety w nogach Herkulesa, łamie w rękach... Skąd szpagety w nogach, skąd w rękach?... A potem mrok, a potem światło, potem głos, bulgocze jak woda w uszach. Głos z wody... I nic... Hop, zajączku, hop, hop, nie ma zajączka, nie ma tata, nie złapie zajączka za kark... Nie, nie, Herkules, nie na szosę. No i leci sokół nad jezdnią, leci, gdzie Kakanj,



gdzie kakanjskie morze, leci sokół, leci, a za nim tatko, tatko mój w czołgu! Generał Armii Chorwackiej Anto Gavran Ćumur w czołgu, a Herkules przed czołgiem, przegania dzieci na rowerkach. Uciekajcie, dzieci, uciekajcie, jedzie tatko mój generał, a on litości nie zna. Na wojnie nie ma litości. Litość jest w kościele, a kiedy jest wojna, nie idzie się do kościoła, tylko do czołgu, i brum, brum... Leci sokół, leci sokół, ponad Kaknjem, nad kakanjskim morzem, a za nim tatko mój w czołgu. Nie ma tatki, umarł tatko mój kochany, Herkules smutny, nikt go nie słyszy...

Zoran

Z Wiednia ruszamy koło pierwszej, Borka nie mogła wcześniej wyjść z biura. Najpierw dwa spotkania z inwestorami, potem, w połowie rozmowy, zjawił się nasz nieszczęsny Kasim, chce budować dom, ona mu obiecała projekt. I rozsiadł się, żeby o tym pogadać. A dom mu się w planach jakoś zmniejszył, bo nie ma już syna, zostali z żoną sami, córka, zięć i wnuki w Kanadzie, i Kasim właściwie nie prosi o projekt, tylko chciałby, żeby mu Borka opowiadała o tym jego domu, żeby ożywiła model, powiedziała, co powinno być w środku, a naprawdę prosi, żeby zaplanowała mu resztę życia. Ale tak się nie da.

Potrzebowała godziny, żeby się pozbyć Kasima i żebyśmy mogli ruszyć. Ale jakoś tak wyszło, że większą część drogi rozmawiamy o nim.



Kasim był chorążym najpierw w Peci i Strumicy, potem w Kninie i w końcu w Sarajewie. Łaził za ojcem Borki, jeszcze kiedy był podpułkownikiem, aż do chwili, kiedy został generałem, a wtedy Starović ciągnął go ze sobą wszędzie, gdzie go wysłali. Generał wysoki, szczupły, Kasim mały, okrągły, wyglądali jak Don Kichot i Sancho Pansa. Ale co armia wie o Don Kichocie, nazywali ich jak w komiksie, Zagor i Chico. Kiedy Starović w osiemdziesiątym piątym przeszedł na emeryturę – można powiedzieć, w samą porę – jakoś się okazało, że i Kasim ma dość lat na wcześniejsze przejście do cywila. Mieszkali drzwi w drzwi w oficerskich blokach na Dolac Malcie, szanowali się nawzajem i odwiedzali. Co ciekawe, dla Starovicia Kasim był dawnym kolegą z pracy, ale dla Kasima Starović na zawsze został generałem. I gdy tylko w letnim domu trochę się przy różnie wypilo, mówił do niego: towarzyszu generale! Był w jakiś sposób dumny ze stopnia Starovicia, jakby w tym generalstwie była i jego zasługa.

Gdy wybuchła wojna, Kasim już w połowie kwietnia dziewięćdziesiątego drugiego wziął żonę i dzieci i pojechał do Wiednia. Nie bez powodu: jego nieszczęsny syn Goran od gimnazjum miał problemy z depresją, w poradni psychiatrycznej chodził od doktora do doktora, ale nie potrafili mu pomóc; na depresję nie ma ratunku, trzeba nauczyć się żyć z tym cierpieniem, jak długo się da. Nie wiem, jak im się to



udało, ale od razu pojechali do Wiednia. Może Kasim tam kogoś miał. Jeśli tak, to ten ktoś niespecjalnie im pomógł, bo wyładowali w obozie dla uchodźców i zostali tam pół roku. I w ciągu tego pół roku dokonało się wielkie przeobrażenie Kasima. Może nie przeobrażenie, tylko pewni ludzie, dopiero gdy przejdą na emeryturę i wyjadą jako uchodźcy na obczyznę, odkrywają swoje życiowe powołanie. Dla Kasima nie była nim rola niedouczonego podoficera komunistycznej armii, pracownika kontrwywiadu i tajniaka, szpicla, który połowę czasu poświęcał na śledzenie albo wymyślanie spiskowców i pozostałych wrogów narodu w garnizonach Jugosłowiańskiej Armii Ludowej – nie, on miał zostać sławnym austriackim kucharzem.

Zaczął się tak: gdy znaleźli się w ośrodku, a pech zrządził, że były to jakieś dawne koszary, Kasim zaczął pieszo zwiedzać miasto. I przypadkiem trafił na restaurację Dubrovnik, ogarnęła go nostalgia, wszedł, żeby się napić herbaty, bo kawy już wtedy nie pijał, i tak od słowa do słowa dowiedział się od właściciela – który już na wstępie, żeby nie było żadnych nieporozumień, przedstawił mu się jako ustasz z Tomislavgradu – że właśnie został bez specjalisty od różna.

No cóż, nikt, kto znał Kasima, nie był pewien, co przeważało, to, że nie przywykł do próżniactwa i ciągnęło go do roboty, że obracanie różna od dawna było jego namiętnością, czy też poczuł się tak, jakby znowu



polował na wrogów narodu, trzeba się więc wkręcić, a może wszystko to po trosze, grunt, że Kasim zaferował się do pracy przy różnie.

Właścicielowi nie podobało się, że jest uchodźcą, nie był też zachwycony, że jest muzułmaninem, ale Kasim nabrał go, mówiąc, że też jest ustaszem, że w tamtej wojnie całą rodzinę wymordowali mu we wschodniej Bośni i na Serbów nie może patrzeć, więc przyjął go na próbę.

Pół roku później Kasim był już szefem kuchni w restauracji Dubrovnik, miał pozwolenie na pracę i wszystkie papiery na pobyt. I dopiero zaczynał. Od południa do północy pracował, resztę nieprzespanego czasu zużywał na czytanie poradników, książek kucharских i encyklopedii kulinarnych oraz na kuchenne eksperymenty w mieszkaniu, do którego się wprowadzili. Jego żona Bosa, skądinąd bardzo kulturalna kobieta, do wojny nauczycielka w szkole podstawowej imienia Silvija Strahimira Kranjčevicia na Mejtašu, nie mogła się nadziwić, bo dawnego Kasima kuchnia i kucharzenie nic a nic nie interesowały. Do niego należał rożen w letnim domu, a potem to, co z różną, z wielką miską sałaty, i to byłoby wszystko. Umiał jeszcze ugotować dalmatyński brudet z ryb albo kalmarów i krewetek, ale robił to rzadko, tylko kiedy się pojechało nad morze, bo w Sarajewie nigdy nie można było kupić dobrej morskiej ryby. A teraz, proszę, na stare lata oszalał za gotowaniem.



Pod koniec wojny w Bośni Kasim pracował już jako szef kuchni w jednej z lepszych restauracji, którą prowadził jakiś nowojorski Żyd, kontynuując tradycje wiedeńskiej kuchni mieszczańskiej i dworu Habsburgów, „Der Standard” pisał o Kasimie kilkakrotnie, pierwszy raz jako o pracowitym i zaradnym bośniackim uchodźcy, drugi raz jako o znanym i pracowitym bośniackim kucharzu, trzeci raz jako o sensacji na austriackiej scenie gastronomicznej. Wtedy już nie wspomniano o bośniackim pochodzeniu Kasima.

Pierwsza koperta z listem i pięciuset markami w banknotach o nominałach pięćdziesiąt, dwadzieścia i dziesięć przyszła, jeśli Borka dobrze pamięta, pod koniec lata 1992 roku. Mnie się wydaje, że była już jesień. Przesyłkę przyniósł jakiś niemiecki dziennikarz, chyba z berlińskiego „Tageszeitung”. Nazywał się, jeśli się nie mylę, Rathfelder. Od tamtej chwili co kilka miesięcy w różny sposób przychodziły koperty z markami, za które całkiem nieźle żyli teść i teściowa, a także, co tu kryć, my oboje, wkrótce pojawiły się też wycinki z informacjami o niespodziewanej sławie Kasima. Kiedy sytuacja trochę się poprawiła, zaczęły przychodzić paczki. Te paczki od Bosy i Kasima bardziej rozczuliły Starovicia niż wszystkie marki. Pieńdź jest zimny, człowiek się nim nie wzrusza.

I oto aniśmy się obejrzeli, chorąży generała stał się bogaty i sławny, więc nikt już nie pamiętał, kim



był i co robił przez pierwszych ponad pięćdziesiąt lat życia. A Starović, w którego patrzył jak w Boga, żył tak jak każdy sarajewski emeryt podczas wojny, potem trochę gorzej, jak każdy sarajewski Serb, który nie uciekł z miasta. O dwadzieścia kilo lżejszy, z połową zębów, siwy i pokorny, jaki chyba powinien być generał wrogiej armii.

Nigdy nie poskarżył się Kasimowi, a Kasim nie mógł widzieć go takiego, jaki naprawdę był. Czas chorążego stanął w osiemdziesiątym piątym, kiedy za swoim generałem przeszedł na emeryturę i kiedy widział w nim wzór mądrości, uczciwości i odwagi, wojskowego supermena i Jugosłowianina. Ale chociaż generał się nie skarżył, Kasim zaprosił go, żeby przyjechał z żoną do niego do Wiednia. On załatwi papiery i mieszkanie, Sarajewo niech zostawi za sobą i więcej się nie ogląda, nic już z tego nie będzie. Generał oczywiście odmówił. Trochę z szacunku dla siebie, trochę ze strachu – a może szacunek dla siebie i strach są tym samym – nawet mu na myśl nie przyszło wyjeżdżać z Sarajewa. Trzy razy podczas wojny robili mu rewizję w mieszkaniu, niby to szukali broni, zmuszali go, takiego starego, do kopania okopów, lżyli go i upokarzali, ale on, im gorsze rzeczy go spotykały, tym silniej trwał w postanowieniu, że nigdzie nie pojedą i tu, gdzie są, zostaną do śmierci. W jego głowie, myślę, wyglądało to tak: jeśli tyle zła spotyka mnie w domu, co dopiero mogłoby być w Wiedniu!



Pod koniec 1996 roku Kasim przyjechał do Sarajewa. Ambasada austriacka organizowała Dni Wiednia, w tamtym czasie wszystkie ambasady urządzały jakieś imprezy ze sławnymi muzykami, artystami i pisarzami, aby pokazać, że zależy im na Bośni i Sarajewie, i w ramach tych Dni Austriacy wydali w Holiday Inn wielki bożonarodzeniowy obiad dla pięciuset osób, na który zapowiedziano przyjazd z Wiednia sławnego kucharza, naszego, z Sarajewa. Nikt już nie pamiętał Kasima sprzed wojny, bo też nikt go nie znał. I kto by znał wojskowego emeryta z Dolac Malty, chorążego kontrwywiadu, zbója z безпеکی, jednego z tych, co to z natury rzeczy byli najbardziej niewidzialni i najmniej lubiani w każdym garnizonie. A teraz wszyscy rzucili się, żeby z nim robić wywiady, fotografować go i filmować, pokazywać i przedstawiać jako naszego człowieka, któremu udało się za granicą, uchodząc, który pokazał Wiedniowi, jak się żyje i je w Sarajewie. On trochę się krępuje, a trochę cieszy. Nic nie znaczy dla niego wiedeńska sława w porównaniu ze smutną i ponurą sarajewską.

Powiedzieli mu, że z tych pięciuset zaproszeń dla niego jest tyle, ile potrzebuje. On na to, wystarczą dwa. Dla generała z małżonką. I tak wyprawiliśmy teścia i teściową na katolicki świąteczny obiad w Holiday Inn. Biedak, mizerny i przygnębiony, że musi iść, ale idzie, nikt go nie pyta. Już długo nikt go o nic nie pyta, idzie więc, jakby miał wykonać



zadanie, z którym wysyła go jego chorąży. Świat stanął na głowie.

Obiad przeciągnął się do kolacji. Jak im tam było, nie mówili, ale dwa, trzy dni później zadzwonił do mnie z Wiednia Kasim. Dostał od teścia mój numer w pracy. I mówi, że tamtego dnia rozmawiał z generałem, znowu go namawiał, żeby się przeniósł do Wiednia, a on nie chce, mówi, że tylko jedna rzecz jest w jego życiu ważna, żeby córka i zięć wyjechali z Sarajewa. Dla niego, mówi, pod każdym względem jest za późno. Nie dlatego, że jest stary, nigdy człowiek nie jest tak stary, żeby nie mógł uciekać, tylko dlatego, że złożył przysięgę temu, którego już nie ma, i że tej, której już nie ma, był generałem. Jego sprawą jest, powiada, lec, jak słudzy egipskich faraonów, w jednym grobie z tymi dwojgiem, Kasim nie pyta, z jakimi dwojgiem, już on wie, którego i którą ma generał na myśli, więc teraz dzwoni do mnie, aby mi powiedzieć, że ja i Borka musimy wyjechać z Sarajewa.

Ze strachu nogi się pode mną ugięły. Nigdy, przez całą wojnę, nie rozmawialiśmy o wyjeździe. Ani wtedy, kiedy było najgorzej, ani kiedy teściowi robili rewizję w mieszkaniu, ani kiedy go zabierali do kopania okopów, ani kiedy ona, a potem ja zrozumieliśmy, że w Sarajewie nie jest już wszystko jedno, czy nazywasz się Ahmo czy Zoran, Borka czy Fata, zwłaszcza że obojgu nam zaczęło iść lepiej, ja miałem dwie prace, obie dla zagranicy, obie dobrze płatne, Borka z koleżanką ze



studiów otworzyły pracownię architektoniczną, nadchodzi czas budowy, trzeba być pierwszym. A jednak, kiedy ci ktoś proponuje, żebyś się przeniósł do Wiednia, że załatwi ci papiery i mieszkanie, coś się w tobie odzywa. Myślałem, że jeśli będzie dobrze, tak jak w 1996, kiedy wyglądało, że będzie dobrze i coraz lepiej, zapomnę o propozycji Kasima. Ale jeśli dobrze nie będzie, tak jak latami nie było dobrze, albo jeśli, nie daj Boże, znowu zacznie się wojna, nie wybaczę sobie, że ją odrzuciłem. A cały czas kombinuję, czy Borce nic nie mówić, żeby jej nie denerwować, czy mówić, ale wszystko obrócić w żart, powiedzieć, że generał stracił rozum i akurat kiedy zaczęło nam dobrze iść, chce nas przez Kasima dyslokować. Ona podchwyci żart i jeszcze doda swoje: i tak nie moglibyśmy zostawić generała i generałowej samych, starzeją się, muszą nas mieć pod ręką. I po sprawie, z czasem się o niej zapomni.

A co, jeśli sprawa nie jest z tych, o których się zapomina, i jeśli to dla nas ostatnia okazja, żebyśmy pojechali, tak jak wcześniej pojechało wielu? Dzisiaj już nie pamiętam, co przeważało, o czym jeszcze myślałem, ale wiem, że po pracy jak nieprzytomny pognałem do domu opowiedzieć Borce o rozmowie z Kasimem. Nie wiem, czy zaproponowałem, żebyśmy jechali, bo nagle jakoś rozumiało się samo przez się, że jedziemy, że nic innego nie ma sensu, tylko zostawić wszystko i jechać. Teść się cieszy, teściowa płacze



ze szczęścia, Borka już kombinuje, kiedy powiedzieć kumpelce, że z pracowni nici, i czy lepiej pojechać do Zagrzebia autem, czy załatwić papiery na miejscu, w Sarajewie, i lecieć prosto do Wiednia. Nie ma nikogo, kto by się zawahał, nikogo, kto by nas ostrzegł, że może nie powinniśmy wyjeżdżać teraz, kiedy wojna się skończyła i życie wraca do Sarajewa. Ani wtedy, ani przez następny miesiąc, bo tyle potrzebowaliśmy, żeby wszystko pozałatwiać i poodmawiać, zakończyć swoje życie w tym mieście, nie usłyszeliśmy żadnych wątpliwości. Do głowy mi nie przyszło to, co wiem dzisiaj, że Wiedeń nie jest na końcu świata i że, jeśli się nam nie powiedzie, w każdej chwili możemy wrócić. Wyjeżdżaliśmy na zawsze, cali w euforii. Ktoś powinien mi wyjaśnić, jakiś psychiatra, antropolog lub pisarz, jak to możliwe, że wcześniej nie chcieliśmy wyjeżdżać, że trzy i pół roku umieraliśmy ze strachu, a potem wyjechaliśmy, nawet się nie obejrzawszy.

Dalej sprawy szły niemal przewidywalną koleją. Oczywiście dzisiaj wydaje nam się to przewidywalne, kiedy minęło, a my dwoje stoimy niby na jakimś wzniesieniu, na szczycie góry, skąd wszystko dokładnie widać, widać jak na dłoni lata, które płynęły od 1996 roku do dzisiaj, do sierpnia 20..., i wszystko jest logiczne, jak to w życiu bez wielkich niespodzianek, zmian i wojen.

Kiedy my zaczynaliśmy w Wiedniu nowe życie, do którego się nie przyzwyczajaliśmy, bo od początku

